



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: KONIEC SEZONU FILMOWEGO

Sezon filmowy, podobnie do roku szkolnego, nie pokrywa się z rokiem kalendarzowym, ale trwa od jesieni do początku lata. Dla recenzenta początek lata to czas refleksji na temat minionego sezonu. Dla autora niniejszej rubryki - chwila zastanowienia się szczególnie nad kinem polskim, nad tym, co zdołał obejrzeć w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy na kinowych ekranach.

Piszę: „co zdołał”, bo publicysta zajmujący się sprawami kina - jeżeli nie uczestniczył we wrześniowym gdańskim festiwalu, który prezentuje niemal pełny wachlarz polskich filmów premierowych mających wejść na ekrany w przyszłym sezonie - ma później, w ciągu roku, bardzo utrudnioną sytuację. Jeśli chodzi o „schwywanie” poszczególnych filmów. Na naszych ekranach polskie filmy najczęściej chodzą „stadami” po okresach, kiedy w ogóle ich się nie uświadczy, albo - wprowadzone na ekran - znikają nagle z niego jak sen złoty, zapewne, dlatego, że widzowie nie chcą ich oglądać.

Oczywiście, nie zawsze tak właśnie się dzieje i na przykład film Romana Załuskiego „Och, Karol” - gdzie kilka przystojnych i atrakcyjnie rozebranych pań nie daje w łóżku spokoju samotnemu bohaterowi, który marzył o „domowym haremie” i teraz „ma, czego chciał” - cieszył się olbrzymim powodzeniem. Ale trzeba też pamiętać, że była to w sumie płaska komedycja zrobiona „pod publiczność”. Z kolei zapowiadanego przez „Filmowy Serwis Prasowy”, jeszcze z grudnia 1965 r., filmu Janusza Zaorskiego „Jezioro Bodeńskie” według głośnej książki Stanisława Dygata, w ogóle do tej pory nie udało mi się wytropić w kinach, nie tylko lubelskich.

Olbrzymim powodzeniem cieszył się wśród dziecięcej widowni kolejny, dwuczęściowy, film Krzysztofa Gradowskiego „Podróże Pana Kleksa” - jeden z najlepszych chyba w ogóle polskich (dokładniej: jest to film polsko-radziecki) filmów minionego sezonu - ale i on chyba zbyt wcześnie został zdjęty z repertuaru lubelskich kin. Z zupełnym brakiem zainteresowania ze strony publiczności spotkały się „Dziewczęta z Nowolipek” i „Rajska jabłoń” Barbary Sass, na których „kasowość” tak bardzo liczone. Ale trudno się publiczności dziwić: dzieło Barbary Sass ani się umywa do ostatniej telewizyjnej adaptacji książki Poli Gojawiczyńskiej, mimo że reżyserka nie żałowała na ekranie damskiej golizny oraz łózkowych scen.

Zupełnymi niewypałami kasowymi okazało się kilka filmów w gatunku „rozliczeniowych”, wracających tematyką do wczesnego okresu powojennego na ziemiach polskich, do czasów bratobójczych walk. Może dlatego, że kręcone przez reżyserów młodych, dla których prezentowane przez nich wydarzenia należą już do odległej historii, nie posiadają one autentycznego ładunku emocjonalnego, są tylko czymś w rodzaju ekranowych wojennych baśni?

Były wreszcie dramaty „sensacyjne” na tak żenująco niskim poziomie, jak „Kim jest ten człowiek?” Ewy i Czesława Petelskich, czy tak zagmatwane w swej warstwie narracyjnej, jak „Mokry szmal” Gerarda Zalewskiego. Nie ciągnęło rzesz widzów ani tajemnicze „Medium” Jacka Karpowicza ani wprowadzony ostatnio na ekrany film „wampiryczny” Grzegorza Warchoła „Lubię nietoperze”.

Natomiast zaskakująco wielką popularnością cieszył się i spotkał z bardzo żywą reakcją widowni najnowszy film Radosława Piwowarskiego - „Kochankowie mojej mamy” z kapitalną rolą Krystyny Jandy, jako samotnej matki, dość prostej dziewczyny, zatraćającej o półświatek, nie potrafiącej znaleźć sobie miejsca w życiu, która wychowuje nieślubnego synka; w jego postać wcielił się doskonale mały Rafał Wawrzyniak.

Dlaczego właśnie ten ostatni film, z gatunku ambitnych, nie goniący za tanią popularnością - choć niewątpliwie stawiający na szeroką widownię - spotkał się z tak gorącą życzliwością widzów, stał się tak popularny? Otóż chyba przede wszystkim dlatego, że wraz z kilkoma innymi filmami - o których zaraz - trafił na swoiste zapotrzebowanie ze strony polskiego społeczeństwa. Bo mieści się on w określonym, coraz mocniej zauważalnym nurcie polskiego kina. Ów nurt to zwrócenie uwagi reżyserów młodszego pokolenia na sprawy etyczno-moralne w wymiarze rodziny, szczególnie w odniesieniu do nieszczęścia dziecka.

Na szczęście na krzywdę dziecka mało nas dotąd zwracano w kinie uwagi, w filmach o „dziecięcej” problematyce był nurt „lirycznej stylizacji”, zapoczątkowany kiedyś przez Janusza Nasfetera, były film o dojrzewaniu, o pierwszej miłości, o zazdrości dzieci wobec starszego rodzeństwa wchodzącego w dorosłe życie, o inicjacji seksualnej itp. Ale krzywda dziecka, jego nieszczęście (wątek nie koniecznie umieszczony zawsze na pierwszym planie filmu), wpisane w obraz naszej współczesnej rzeczywistości, w atmosferę atakującej nas zewsząd znieczulicy uczuciowej, obojętności, „zwisowości”, niedorosłości dorosłych, zwykłej ludzkiej głupoty wreszcie – nie, takich filmów nie było.

Te sprawy można wyraźnie dojrzeć nie tylko w „Kochankach mojej mamy”. Także - we wchodzących na ekrany „Wakacjach w Amsterdamie” Krzysztofa Sowińskiego (akcja dzieje się w latach 1980-1982) czy w (nieudanym skądinąd) „Sezonie na bażanty” Wiesława Saniewskiego, gdzie dziecko staje się swoistym „obiektem manipulacji” ze strony ojca. A zaznacza się też owa tematyka w „Bez końca” Krzysztofa Kieślowskiego (tam młoda i piękna

matka nie mogąc znieść osamotnienia po śmierci męża oraz napięć psychicznych spowodowanych stanem wojennym, popełnia samobójstwo; nie znajduje w sobie dość siły, aby poświęcić się wychowaniu syna). Również w „Nadzorze” Wiesława Saniewskiego, filmie o zupełnie specyficznej, „więziennej” tematyce, rysuje się mocno problem krzywdy dziecka - dziewczynki zrodzonej w więzieniu przez matkę skazaną na dożywocie, dziecka stojącego na progu kalectwa z winy zaniedbującego je ojca, zainteresowanego już inną kobietą.

Pewnie, że można mówić o jakimś odbiciu „Sprawy Kramerów” Roberta Bentona w tych polskich filmach. Lecz nie jest to zwykłe „pójście za modą”. Film ten mógł mieć pewne inspirujące znaczenie. Ale nie wpływał w żadnej mierze na oryginalność i świeżość spojrzenia polskich reżyserów w ich filmach.

I dlatego, oceniając miniony „polski” sezon filmowy, myślę, że - mimo wielu fatalnych przykładów - trudno się zgodzić z tezą niektórych o artystycznym „zagubieniu się” naszego kina czy też masowym jego pójściu jedynie na tanie efekciarstwo i kasową łatwiznę.

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 14, s. 10-11.